

Sabaai-dii !!!

W momencie, kiedy na Lubelszczyźnie zima zaczynała się na dobre, a za kilka dni mrozy i śnieżyce miały odciąć od świata niektóre lubelskie miejscowości, my, pięcioosobowa grupa amatorów rowerowania, wylądowaliśmy na lotnisku w Bangkoku, by przez kolejne trzy tygodnie wygrzewać się w słończku południowo-wschodniej Azji, przemierzając rowerami drogi Tajlandii, Laosu. i Kambodży. Przed wyjazdem, mając świadomość, jak bardzo ograniczają nas terminy, długo zastanawialiśmy się, co trzeba zobaczyć koniecznie, co, jak wystarczy czasu, a co ewentualnie można pominąć. W rezultacie powstał plan, który udało się nam zrealizować w 100 %, choć niedosyt, oczywiście, pozostał. Brakowało chwil nic-nierobienia, leniwych obserwacji, czasu na poczucie klimatu odwiedzanych miejsc.

Rowerami ruszyliśmy z granicy tajlandzko-laotańskiej w okolicy Wientian, stolicy Laosu. To w Laosie spędziliśmy najwięcej czasu, przejechaliśmy najwięcej kilometrów, i co tu ukrywać, właśnie ten kraj zauroczył nas najbardziej.

Zmierzając na północ, mijaliśmy pola ryżowe, niektóre po okresie zbiorów, w tonacji szaro-żółtej, inne zaś cieszące oczy piękną zielenią aż po horyzont. Zachwycaliśmy się bujną, tropikalną roślinnością i górskimi krajobrazami. Obserwowaliśmy życie wieśniaków, pracujących na polach, oraz krzątających się przy swych ubogich domostwach. Przejeżdżając przez wioski Hmongów w górach, zastanawialiśmy się, czy to aby na pewno XXI wiek. Uroczym dzieciakom odpowiadaliśmy na ich pozdrowienia krzycząc ?Sabaai-dii!!!? i przybijaliśmy piątkę w ich ulepione brudem łapki. Wspinaliśmy się pod górę, czasem kilkadziesiąt kilometrów, wylewając potoki potu, by na szczycie?. zaniemówić z zachwytu. Z upodobaniem degustowaliśmy miejscową kuchnię, mając świadomość, iż przedstawicielom naszego Sanepidu włosy stanęłyby dęba na widok niejednego kuchennego zaplecza.

W miasteczku Vang Vieng, miejscu dla miłośników hazardu, narkotyków i innych uciech dla dorosłych, my zadowoliliśmy się jedynie skonsumowaniem śniadania i wypiciem piwka w

pięknej scenerii nad rzeką. W położonym nad Mekongiem Luang Prabang, zachwyceni powabem dawnej stolicy, odbyliśmy uroczy spacer, podziwiając stare, kolorowe klasztory, ciekawe architektonicznie kamienice, dawny Pałac Królewski, egzotykę produktów miejskiego marketu? Na Równinie Dzbanów suszyliśmy pranie z poprzedniego dnia, rozważając tajemnicę pojawienia się amfor. Siedem kilometrów przepłynęliśmy łódką w prawie zupełnej ciemności, drogą wyżłobioną przez szukającą przejścia rzekę, zwiedzając największą i najciekawszą jaskinię Laosu. Kilka razy przemierzyliśmy Mekong, w tym, udając się na jedną z czterech tysięcy wysp, Don Det, ?. wąską chybotliwą łódką, wracaliśmy zaś ?promem? ledwie trzymającym się kupy? Na wyspie bujaliśmy się w hamakach, ciesząc się chwilą słodkiego lenistwa i rozkoszując sielskością i urokiem miejsca.

Kambodża powitała nas upałem potęgowanym przez ogień wypalanych traw i widokiem biednych domów na palach, a Siem Reap odurzył zgiełkiem i tłumem turystów. Angkor z setkami monumentalnych, kilkuwiecznych świątyń, świadectwo wielkości i świetności Imperium Khmerskiego, wprawiał nas w zadumę?magiczne miejsce, szkoda tylko, że taki tłok?

Łącznie przejechaliśmy około 1300 km rowerami, około dwa razy tyle pociągami, autobusami czy innymi środkami tamtejszej lokomocji.

Nijak wrażeń nie da się zamknąć w słowa, a piękna w obiektywie?choć można próbować?